

WILK ZWANY ROMEO

MARGINESY

NICK JANS

Jedna z najlepszych książek o przyrodzie
wydanych w Polsce w ostatnich latach.

Mikołaj Golachowski



WILK ZWANY ROMEO

NICK JANS

Przełożył Adam Pluszka

MARGINESY

Pamięci Grega Browna
1950–2013
Przyjaciela wszystkich żywych stworzeń

A Wolf Called Romeo

COPYRIGHT © 2014 BY Nick Jans

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Adam Pluszka

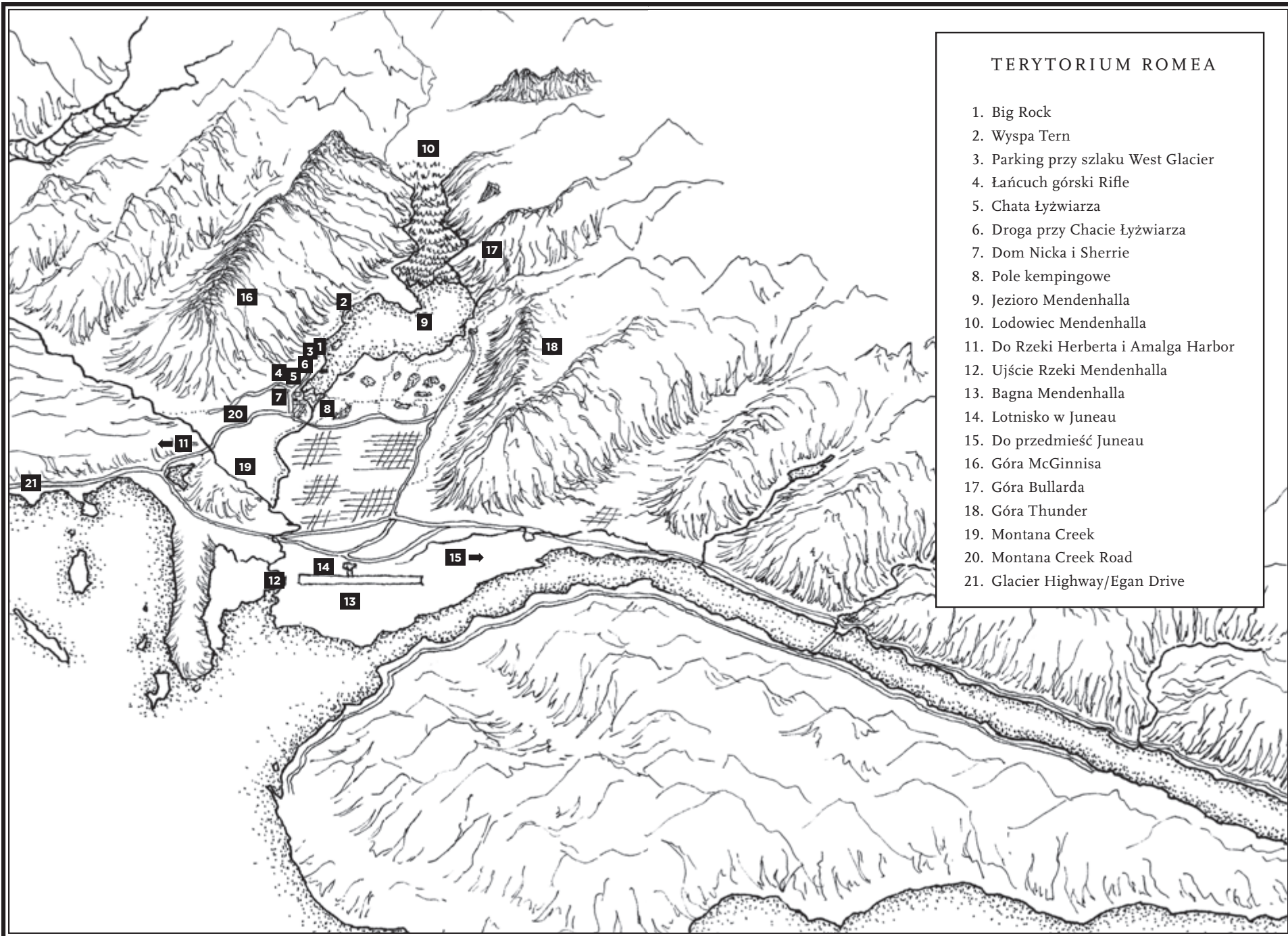
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,
WARSZAWA 2016



Albowiem człowiek nie powinien oceniać zwierzęcia.

W świecie starszym i bardziej kompletnym niż nasz żyją gotowe i kompletne, obdarzone doskonalszymi zmysłami, które my straciliśmy albo których nigdy nie mieliśmy, żyją wśród głosów, których nigdy nie usłyszymy. Nie są braćmi, nie są sługami, to inne narody połączone ze sobą sieciami życia i czasu.

Henry Beston, *The Outermost House*



TERYTORIUM ROMEA

1. Big Rock
2. Wyspa Tern
3. Parking przy szlaku West Glacier
4. Łańcuch górski Rifle
5. Chata Łyżwiarza
6. Droga przy Chacie Łyżwiarza
7. Dom Nicka i Sherrie
8. Pole kempingowe
9. Jezioro Mendenhalla
10. Lodowiec Mendenhalla
11. Do Rzeki Herberta i Amalga Harbor
12. Ujście Rzeki Mendenhalla
13. Bagna Mendenhalla
14. Lotnisko w Juneau
15. Do przedmieść Juneau
16. Góra McGinnisa
17. Góra Bullarda
18. Góra Thunder
19. Montana Creek
20. Montana Creek Road
21. Glacier Highway/Egan Drive

Prolog



Pierwsze spotkanie Romea i Dakoty



– Jesteś pewien? – westchnęła Sherrie.

Moja żona spojrzała przez ramię w stronę kojącego blasku bijącego z naszego domu stojącego nad brzegiem jeziora, a potem popatrzyła przed siebie: w zapadającym zmierzchu na łodzie stał czarny wilk. Okutani dla ochrony przed mrozem południowo-wschodniej Alaski, na spacer zabraliśmy ze sobą tylko jednego z naszych trzech psów – żółtą labradorkę Dakotę, która zawsze była doskonale ułożona i reagowała na komendy, gdy stykała się z dzikimi zwierzętami, niezależnie od tego, czy chodziło o niedźwiedzia czy ursony.

Pomimo zrozumiałej tremy Sherrie czuła się tak podekscytowana, że niemal wyskakiwała ze skóry. Po tych wszystkich latach nieudanych prób oto jest: jej pierwszy wilk. Doskonale, pomyślałem, i to łatwiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Ale kiedy ruszyliśmy dalej po łodzie, sprawy potoczyły się zupełnie inaczej. Wilk, zamiast patrzeć zza linii drzew, co kilka razy robił w mojej obecności, zaczął po łuku truchtać w naszą stronę. Po chwili sadził susy, śnieg bryzgał spod jego łap. Otworzył paszczę. Przyciągnąłem Sherrie do siebie i chwyciłem Dakotę za obroź. Wyostrzył mi się wzrok, zatrzeszczały synapsy. W ciągu kilkunastu minionych lat widziałem niejednego wilka, niektóre z bardzo

bliska, i nie wpadałem w panikę. Ale każdy, kto twierdzi, że na widok szarżującego wilka nie poczuł kopa adrenaliny – nie mając broni, niczego, czym można by obronić bliskich – albo jest durniem, albo kłamie.

W kilka uderzeń serca znalazł się czterdzieści metrów od nas. Stał sztywno, miał podniesiony wysoko ogon i wlepił w nas nieruchome spojrzenie – postawa dominująca, co wcale nas nie uspokajało. Nagle, wydając krótkie skomlenie, Dakota szarpnęła i oswobodziła się z uchwytu dwóch palców, które zaczepiłem o obrozę, po czym pognąła prosto na wilka. W jej głosie zabrzmiała nuta rozpaczy. Sherrie wołała ją raz za razem, ale ona nie reagowała. Zahamowała z poślizgiem i zatrzymała się kilka długości ciała od wilka, wyprężyła się, ogon sterczał jej poziomo. Opadły nam szczęki, bo wilk obniżył ogon na tę samą wysokość. Patrząc na tę dwójkę, po raz pierwszy mogłem dostrzec, jaki ten wilk jest wielki. Dakota, krępa, standardowo umięśniona labradorka, ważyła jakieś dwadzieścia pięć kilogramów. Czarny wilk górował nad nią, musiał ważyć ponad dwa razy więcej. Same jego głowa i szyja miały wielkość jej tułowia. Sześćdziesiąt kilogramów, pomyślałem. Może więcej.

Podszedł do niej na sztywnych łapach, ona też ruszyła. Nawet jeśli słyszała nasze wołania, nie dała tego po sobie poznać. Była skupiona i milcząca – zupełnie inna od tej radosnej labradorki, którą znaleźliśmy. Wydawała się na wpół zahipnotyzowana. Przyglądali się sobie, jakby każde z nich starało się odgrzebać w pamięci niemal zapomnianą twarz. To była jedna z tych chwil, kiedy czas wstrzymuje oddech. Podniosłem aparat i zrobiłem zdjęcie.

Cichy trzask migawki, zupełnie jakby ktoś pstryknął palcami, uruchomił świat na nowo. Wilk zmienił pozycję. Po-



stawił uszy i zastrzygł nimi, wykonał krótki skok w przód, skłonił się na przednich łapach, a potem odchylił i podniósł łapę. Dakota, krążąc, przysuwała się bliżej, ogon wciąż sterczał jej poziomo. Wlepiali w siebie wzrok. Kiedy ich nosy dzieliło może trzydzieści centymetrów, znów nacisnąłem spust migawki. Dźwięk ponownie złamał zakłęcie. Dakota w końcu usłyszała głos Sherrie i ruszyła w naszym kierunku, odwracając się tyłem, przynajmniej na razie, do tego zewu wolności, który mogła poczuć. Przez długie minuty staliśmy z nią, cicho popiskującą, u boku, i patrzyliśmy w kierunku przystojnego ciemnego nieznajomego, który wpatrywał się w nas i także cicho skamlał. Ciszę przecinał piskliwy lament. Zupełnie zbici z tropu szeptaliśmy do siebie, zastanawiając się, co tak właściwie zobaczyliśmy i co to znaczyło.

Ale zaczynało się ściemniać – musieliśmy iść. Wilk stał i patrzył, jak odchodzimy. Opuścił ogon, a po chwili unióś-

pysk ku niebu i zawył przeciągle, jakby cierpiał. W końcu pobiegł na zachód i zniknął między drzewami. Kiedy szliśmy do domu pośród gęstniejących ciemności zimowego wieczoru, na łuku nieba zamigotały pierwsze gwiazdy. Lodowiec za nami odbijał echem niskie wycie wilka.

Po tym pierwszym bliskim spotkaniu w grudniu 2003 roku ów dziki czarny wilk stał się częścią naszego życia – nie tylko przelotnym kształtem w mroku, ale istotą, którą poznaaliśmy na przestrzeni lat równie dobrze jak on nas. Byliśmy sąsiadami, to na pewno. I choć niektórzy mogą z tego drwić, także przyjaciółmi. To historia utkana ze światła i mroku, nadziei i smutku, strachu i miłości, i może z krzty magii. To opowieść o naszych czasach na tym kurczącym się świecie, ta, którą muszę opowiedzieć – przede wszystkim dla siebie. Późno w nocy wypełnia chwile między uderzeniami serca, budzi mnie. Ubierając ją w słowa, wiem, że ani się od niej nie uwolnię, ani jej nie zrozumieję. Chcę po prostu najlepiej jak umiem zgromadzić wszystkie fakty, rozważania i pytania pozostawione bez odpowiedzi. Po wielu latach będę przynajmniej wiedział, że to nie był sen i że kiedyś istniał wilk, na którego mówiliśmy Romeo. Oto jego historia.

1

Wilk!

grudzień 2003



Podpis Romea – powłóczył lewą tylną nogą

Wybrałem się na swój zwykły popołudniowy wypad na biegówkach po Jeziorze Mendenhalla*. Był początek grudnia, tuż za domem. Na wprost majaczyła błękitna bryła Lodowca Mendenhalla, otoczonego ostrymi, pokrytymi śniegiem szczytami – McGinnisa, Stroller White, Mendenhall Towers, Bullarda i Thunder – lśniącymi na niebiesko w zimowym świetle. Moim najbliższym towarzyszem był oddalony o jakieś dwa kilometry turysta. Koncentrując się na rytmie kroków, niemal przeoczyłem linię śladów przecinających moją trasę. Wystarczył jednak rzut oka – i to on sprawił, że stanąłem jak wryty i zawróciłem, aby spojrzeć na nie jeszcze raz.

To niemożliwe.

A jednak.

Tropy wielkości mojej dłoni, większe i bardziej romboidalne niż psie, odciski przednich i tylnych łap niemal do-

* Przyjąłem zasadę – mającą na celu ułatwienie lektury – aby nazwy geograficzne niemające swoich polskich odpowiedników podawać w polskim brzmieniu. Głównie chodzi o spolszczone słowa *mountain*, *range* czy *river*. Zdecydowana większość tych nazw pochodzi od nazwisk ich odkrywców (lub nazwisk osób im bliskich). Genezę nazewnictwa weryfikowałem za sążnistym dziełem Donalda J. Ortha *Dictionary of Alaska Place Names*, Washington 1967 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

kładnie do siebie pasujące, wszystkie ułożone w łagodny wzór, który w ciągu minionych dwudziestu lat życia w arktycznej dziczy widywałem wiele razy, tysiące kilometrów na północ. Delikatnie dotknąłem jednego śladu. Płytki, miękkie jak piórko – sprzed najwyżej kilku godzin.

Wilk. Właśnie tu, na obrzeżach granicy miasta Juneau, stolicy stanu. Jasne, byliśmy na Alasce. Ale nawet w Wielkim Kraju, jak mówią na nią Aleuci, w jednym ze swoich ostatnich światowych bastionów, *Canis lupus*, wilk szary, występuje dość rzadko – według szacunków stanu jest od siedmiu tysięcy do dwunastu tysięcy osobników, średnio mniej niż dwie setne wilka na każdy kilometr kwadratowy prawie dwumilionowej powierzchni Alaski. Większości tutejszych, nawet tych mieszkających w najbardziej odległych wsiach, zdarza się przez całe życie nie zobaczyć ani jednego ani nawet nie usłyszeć echa wycia. W Juneau, trzecim co do wielkości mieście stanu, z populacją przekraczającą trzydzieści tysięcy ludzi, biolodzy i mieszkańcy, którzy sporo chodzili po okolicy, wspominali czasem o watasze, która biegła na południe brzegiem Zatoki Berners, przez pole lodowe Mendenhalla, w kierunku doliny Taku, ogromnego obszaru porośniętego lasami deszczowymi, pełnego postrzępionych gór, pól lodu i podziurawionych szczelinami lodowców. Kiedy Sherrie i ja na tarasie naszego nowo zbudowanego domu, postawionego na styku przedmieść i dzikiej przyrody, słyszeliśmy od czasu do czasu ciche wycie, uważaliśmy się za szczęściarzy. Świeży trop wilka prowadzący do jeziora – najpopularniejszego placu zimowych zabaw całego miasta – był wielkim wydarzeniem.

Kilka minut przyglądałem się odciskom, które wiły się od niedaleko położonego wejścia na szlak West Glacier ku labi-

ryntowi ścieżek, bobrzyc tam i krzaczastego lasu, znanych jako jezioro Dredge. Zwierzę mające ogromne łapy (nawet jak na wilcze standardy) bardzo wyraźnie powłóczyło tylną lewą nogą. Powstawała charakterystyczna bruzda. W drodze powrotnej rozglądałem się, jakbym oczekiwał, że odciski łap jednak mi się przywidziały. Ale nie, wciąż tam były. Podążyłem wzdłuż nich do linii drzew i znalazłem miejsce, w którym świeże tropy pokryły się ze starszymi: prowadziły do owalnego zagłębienia, w którym zwierzę leżało. Kręciło się tam co najmniej od kilku dni, od poprzednich opadów śniegu.

Po powrocie do domu podzieliłem się nowinami z Sherrie. Choć przytakiwała, wiedziałem, że nie bardzo mi wierzy. A może to jakiś bezpański pies? Albo kojot, przecież widzieliśmy takiego na jeziorze. Przeniosła się z Florydy na Alaskę piętnaście lat wcześniej niż ja i przemierzyła tysiące kilometrów tego niewyobrażalnie ogromnego stanu, aby zobaczyć wilka, lecz nigdy nie dostrzegła nic więcej niż mignięcie futra. Teraz mieliśmy świeże tropy niecały kilometr od drzwi i dwadzieścia minut samochodem od rezydencji gubernatora. Prawdę mówiąc, sam sobie nie dowierzałem, nawet kiedy wróciłem, żeby popatrzeć jeszcze raz.

Dwa dni później w obłokach pary moczyłem się w wannie z gorącą wodą na naszym tarasie na tyłach domu i starałem się pozbyć bólu w barku, kiedy dostrzegłem na lodzie ciemny kształt. Nawet z daleka nie pomyliłbym kłusującego wilka z żadnym zwierzęciem: biegł z prostym grzbietem, niemal płynął. Wyskoczyłem z wody, byle jak się wytarłem i rzuciłem po sprzęt narciarski. Dziesięć minut później szusowałem wzdłuż zachodniego brzegu jeziora, a nasze trzy psy deptały mi po piętach. Wiedziałem, że psy – stali to-

warzysze, nasza własna wataha – będą się trzymać blisko, więc ściszałem smycz tylko najmłodszego, tak na wszelki wypadek. Nie łudziłem się, że zobaczę coś więcej niż odległy majak wilka, a i tak musiałbym mieć szczęście.

Tuż za zakrętem, za miejscem, które tutejsi nazywają Big Rock, ponieważ wznosi się tam wysoki na trzy metry granitowy głaz, pozostałość po lodowcu – wystaje z płycizny zatoki na zachodnim brzegu – spotkałem dwie roztrzęsione kobiety z psami. Mówiły, że przez ostatnie osiemset metrów śledził je ogromny czarny wilk. Skupiony i gotowy na wszystko, podszedł niepokojąco blisko – pokazały mi, że to było sześć metrów – a potem, kiedy zamachały rękami i krzyknęły, odszedł.

– Dokąd? – zapytałem.

Wskazały na północ i pobiegły w stronę parkingu, a psy za nimi. Pojechałem na nartach dalej i po jakimś kilometrze na tle drzew dostrzegłem kształt, który musiał być tym samym zwierzęciem: stało tyłem i oglądało się za siebie.

Wilk! Poczułem dreszcz w piersi, tak przenikliwy jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkałem to zwierzę ponad dwie dekady wcześniej. Moje dwa labradory i blue heeler doskonale wiedziały, że to nie bezpieczeństwa husky. Nawet dobrze ułożony Gus, czarny labrador, dawny przewodnik, którego krótko przedtem adoptowaliśmy, zjeżył sierść i zawarczał głucho. Dakota, nasza wspianiała prawie biała suczka, zaskomlała. Chase, roczna sunia blue heelera (psy tej rasy hodowane są do pilnowania stad przed takimi stworzeniami), podniosła przenikliwy alarm, kiedy wilk pobiegł w stronę zarośli.

Choć szanse zmniejszały się z każdą chwilą, pognałem z powrotem do domu. Zabrałem zestaw fotograficzny oraz statyw i zamknąłem psy w domu. Smutno przyklejały nosy

do szyby. Dysząc, wróciłem do ujścia potoku, gdzie zniknął wilk. Stał tam, ciemny kształt na tle głębokiego śniegu. Musiał zauważyć, że się zbliżam, ale zamiast uciec – tego się spodziewałem – zwolnił, wciągnął w nozdrza powietrze i zwinął się w kłębek w pobliżu kępy olch, jakby postanowił się zdrzemnąć. Od chwili gdy go zauważyłem podczas kąpieli, wszystko to wydawało się surrealistyczne.

Pomyślałem, że teraz, kiedy mnie widzi, nie mam szans na dobre zdjęcie. Mimo to przykręciłem największy teleobiektyw, odpiąłem narty, zdjąłem z ramienia statyw, rozstawiłem go i zapadłem się w śnieg po kolana, po czym zacząłem majstrować przy sprzęcie, walcząc z pokusą spojrzenia na wilka. Przypomniało mi się, co mi kiedyś powiedział ekolog doktor Tom Smith: że zwierzę, które się wpatruje i zbliża do innego osobnika, może przekazywać w ten sposób trzy wiadomości: chcę cię przegonić, chcę cię zjeść, chcę się z tobą sparować – wszystkie trzy niepokojące. Wiedziałem też, że szerokie, gapiące się oko obiektywu aparatu i podekscytowany fotograf za nim tylko potęgują poczucie zagrożenia.

Wlokłem się z pochyloną głową, a kiedy tylko spojrział w moją stronę, zatrzymałem się i siadałem na długie minuty. Gdy dzieliło mnie od niego kilkaset metrów, ziewnął, przeciągnął się i przeszedł kilka kroków, ale po chwili znów się położył. Choć nawet postępującym najbardziej etycznie fotografom przyrody, gdy nadarza się niezwykła okazja, zdarza się od czasu do czasu pozwolić sobie na więcej, i choć wilk nie okazywał zdenerwowania ani się nigdzie nie wybierał, oparłem się pokusie wkroczenia na jego teren zbyt głęboko. Skończyło się na zbliżaniu międzygatunkowym w tempie dwóch kroków na godzinę, a przez większość tego czasu siedziałem i patrzyłem w przeciwną stronę, a nawet

odwracałem się i cofałem. W końcu dzieliło nas jakieś siedemdziesiąt metrów, głównie dzięki temu, że zbliżył się do mnie co najmniej dwa razy. Ustawiając sprzęt, ze wszystkich sił starałem się utrzymać aparat prosto i choć dyszałem, udało mi się zrobić serię zdjęć w niebieskim gasnącym świetle dnia – wilk patrzył na drugą stronę jeziora, a potem podniósł pysk i zawył na tle przyprószonych śniegiem drzew. Potem zniknął w chaszczach szaleju, a ja w zapadającym zmierzchu poszusowałem do domu. Czułem się jak gwiazda „National Geographic”.

Sherrie właśnie wróciła z pracy i z zakupów. Kiedy jej o tym opowiedziałem, oczywiście oszalała. „Co masz na myśli? Ty naprawdę...”. Oczywiście, że chciała pójść, natychmiast. Jest prawie ciemno, zauważyłem. Czarny wilk, czarna noc i zimno jak w psiarni. Ale pojedziemy jutro wieczorem, jak tylko wróci do domu. Staliśmy na dworze i nasłuchiwaliliśmy wycia, ale nic nie usłyszeliśmy. Może już czmychnął z powrotem w głąb stanu, odszedł na dobre.

Następnego dnia o świcie poszedłem nad jezioro, przeświadczony, że mam małe szanse znów go zobaczyć. Ale niech mnie diabli! Zjawił się jak na zawołanie, na prawo od miejsca, gdzie go widziałem poprzedniego dnia: przy linii drzew w zatoce, za Big Rock, niedaleko szlaku West Glacier. Tym razem wydawał się jednak znacznie bardziej wilczy. Nie wyglądało na to, że znów ma ochotę, żebym do niego podszedł. Usiadłem i zacząłem mu się przyglądać przez lornetkę. Koles (na pewno samiec, widziałem, jak podnosi łapę, żeby oznaczyć zapachem zaśnieżony pniak) nie był byle jakim wilkiem. Spośród jakichś stu osobników, które (nieraz cudem) udało mi się zobaczyć w Arktyce, ten się wyróżniał – miał doskonałe proporcje: szeroką głowę i mocną klatkę

piersiową. Bez punktu odniesienia nie dało się dokładnie stwierdzić, jaki jest duży, ale z pewnością należał do tych ogromnych. Wyglądał na zadbanego, miał piękne, czarne i błyszczące futro, zupełnie jakby właśnie wrócił ze złotym medalem zdobytym na wystawie w Westminsterze. W sumie nigdy nie widziałem doskonalszego osobnika tego gatunku.

Jeśli się wie, czego szukać, nie da się pomylić wilka z psem. To coś więcej niż wielkość lub waga. Wilki są inaczej zbudowane – mają dłuższe nogi, prostsze kręgosłupy, masywniejsze szyje, bardziej puszyste ogony i grubsze, wielowarstwowe futro. Charakterystyczne są także posuwiste, oszczędne ruchy i tropy. Ale prawdziwa różnica między wilkiem a psem jest w oczach. W oczach psa widać inteligencję i zaangażowanie, ale kiedy wilk przyszpilił cię nieruchomym spojrzeniem, czujesz się tak, jakbyś się znalazł w polu rażenia lasera. Ta niepokojąca intensywność wwierca się i zdaje oceniać samą twoją istotę. Głębokie bursztynowe tęczęwki czarnego wilka miały w sobie tę moc, ale emanowało z nich coś, czego nigdy nie poczułem w obecności żadnego innego dzikiego wilka: spokojna akceptacja mojej obecności. Większość napotkanych wilków, nawet tych, które podchodziły do mnie z ciekawości, zachowywała przesadną czujność. Były gotowe zniknąć za horyzontem z powodu jednego podejrzanego ruchu, najdelikatniejszego niewłaściwego zapachu. W zasadzie niemal każdy dziki wilk, którego spotkałem, uciekał, kiedy tylko wyczuł obecność człowieka, czasami z odległości półtora lub więcej kilometra, i odbiegał na tyle daleko, żeby mi zniknąć z pola widzenia. Z drugiej strony niektóre wilki albo inne przyzwyczajone do ludzi zwierzęta na obszarach chronionych lub naturalnie dzikich potrafią niemal zupełnie ignorować nierzucających się w oczy ludzi

i zajmować się sobą, jak gdyby obserwatorzy nie istnieli. W rzadkich przypadkach wilk – zwykle młodszy lub taki, który nigdy wcześniej nie zetknął się z ludźmi – z zuchwałej ciekawości może zechcieć nas zbadać. Tropiąc wilki wraz z myśliwymi z plemienia Inupiaków po zachodniej stronie Gór Brooksa, a także oglądając je jako fotograf, pisarz i przyrodnik, obserwowałem pełen zakres ich zachowań. Ale ten był inny. Leżał i patrzył – ani wstrząśnięty, ani niezainteresowany. Jakby mnie badał w tym samym stopniu co ja jego, jakby próbował przewidzieć, co zrobię. I bez względu na to, co mu chodziło po głowie, to, co zrobię ja, a wraz ze mną reszta mojego gatunku, było zasadniczym pytaniem.

Prawdziwa i poruszająca historia wyjątkowego wilka, który spędził siedem lat w pobliżu psów i ludzi na Alasce. Kiedy się pojawił, mieszkańcy Juneau zachowywali ostrożność. Byli też zafascynowani. Nie samym wilkiem – na Alasce mieszka ich sporo. Ale tym, że ten czarny dziki wilk zaczął się przyłączać do narciarzy, bawić się z ich psami albo po prostu w ciche popołudnia wylegiwać na słońcu na środku zamrożonego jeziora.

Książka, której żaden miłośnik zwierząt nie powinien przegapić. Kapitalna opowieść o niezwykłej przyjaźni. Albo raczej o zwykłej – ot, ssak zaprzyjaźnił się z innym ssakiem, bo był samotny, bo stracił kogoś bliskiego, bo potrzebował towarzystwa. I co z tego, że ten ssak jest wilkiem w pełni sił, a za przyjaciół wybrał sobie człowieka i jego psy, a później i innych mieszkańców Juneau na Alasce? Nauka zachodnia dopiero niedawno oficjalnie przyznała, że zwierzęta mają uczucia, emocje i charakter, czyli coś, co każdy współlokator psa lub kota wie od dawna. Obok rzetelnych informacji o biologii wilków i ich roli w ekosystemach oraz w ludzkiej kulturze, znajdziemy tu też porywającą historię porozumienia ponad podziałami, gdzie uczestnicy spotykają się na równych prawach i nawiązują kontakt, który trwa wiele lat.

Mikołaj Golachowski

www.marginesy.com.pl



cena 39,90 zł